№ 27.

WARSZAWA DNIA 25 Czerwca / 7 Lipca R. 1866.



TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

(*Dalszy ciąg.*)

PAN GODZIEMBA I TURKACZ.



Pan Wojski Godziemba niegdyś porucznik z kawalerji był to człowiek pełen życia i niepospolitego hartu duszy, jątrzącéj się zawsze na wszystko co szkaradne i bezecne. Kiedy zapalił się gniewem wtedy sypały mu się skry z oczów, jakby płonęły ogniem, ale gdy gorączka minęła, a zwykle mijała prędko, jeżeli jéj nie podsycano sprzeciwianiem się, wnet z raptusa stawał się jak wosk miękki, co to giąć go można w różne wzorzyste kwiaty. W zwykłem usposobieniu, był dobroci niewyczerpanéj, a ludzki, miłosierny i litujący się choćby ostatnią oddać koszulę. Nie brakowało mu także rozumu i kiedy czasami rozgadał się, to zdało się że sama mądrość z ust mu płynie, co tak umiejętnie szykował myśli idące prosto do serca i głowy. Szlachcic staréj daty, klejnot swój herbowy czcił jak świętość jaką, ale nie gardził niższymi.

„U mnie mawiał ten mi bratem i swatem kto poczciwy i pracowity, a ten szlachcicem kto szlachetnością odznacza swój żywot, jak na ziemi miedze albo graniczne kopce odznaczają co czyją jest własnością. Nie należy więc nigdy pytać ludzi, kto cię rodzi i jak się modlisz? ale czem służysz publicznemu dobru i jakiemi sprawami na ziemi, chwalisz Boga w niebie?“

Mowom takim dziwiono się i chwalono, a gdy zmilknął, Pleban miejscowy zawsze dodawał:

— „Święte wasze słowa mój panie Wojski, warto złotemi wydrukować głoskami i obwieść po całéj ziemi, aby poznano, że chrześcijaństwo prawdziwe, to miłość i braterstwo. Jutro podając wam po nabożeństwie patynę do pocałowania, odmówię z pokorą modlitwę do Pana niebieskich zastępów“.

I nigdy Pleban nie zapominał zrobionéj obietnicy, ponawiając ją przy każdéj piękniejszéj sprawie, ale już z dodaniem błogosławieństwa.

Chwile takie bywały bardzo uroczyste, i pan Godziemba zwykle po nich nabierając nowego życia, weselniał i rzeźwiał i przez cały dzień o swéj prędkości zapominał. Ale Pleban nie szafował niemi zbytecznie, modlił się dosyć często na intencją pana Godziemby ale błogosławił tylko wtedy, kiedy jak powiadał pan Wojski, szatanowi przytarł rogu. Złe to licho moje dzieci“ — mówił wtedy — „przy każdym znajduje się człowieku i czycha na jego duszę, aby ją porwać w swoje szpony. W złych sprawach przybliża się, w dobrych oddala, Bóg opuszcza człowieka, więc błogosławieństwo nie imie się go, i obije się jak ziarno o opokę.

Kapłan ten od modłów dzień zaczynał i na modłach go kończył. Ocknąwszy się odmawiał modlitwę:

— Proszę Cię Panie, oświeć me oczy aby nie upadły w spanie“.

Wstając mówił: w Imię Jezusa Chrystusa wstaję, wspomóż mnie Panie! Swem miłosierdziem.

Przy ubieraniu się mawiał:

— „W sprawach żywota, ozdób mnie Panie szatą niewinności, i obmyj ze wszelkich nieprawości.“

Zatrudniony dzień cały, to w ogrodzie, to w szkółce, w kościele lub u chorego, dla pociechy, jeżeli był w domu, to łatał odzienie, naprawiał bieliznę, czytał żywoty Świętych lub śpiewał nabożne psalmy.

Co do pani Wojskiéj, to niewiasty podobnéj nie łacno dało się napotkać. Powiadano że jak słońce zdobi niebo, tak dom cnotliwa żona, że dobra małżonka jest jako winna macica, podawająca wdzięczne gronka. Takim słońcem, taką winną latoroślą była

pani Godziembina, a gdy żony wyższego urodzenia patrzały wzorków czyli strojów i misternych robót, myślały nie zawsze pobożnie, a mową rzadko budowały, pani Wojska była gospodynią nie z nazwiska, ale myślą, pracą i ręką. Wstawszy rano choć przy fortunie nielada jakiéj, pilnowała rozniecenia ognia w kuchni, potem wydoju krów, a gdy obrządziła się w domu, nie siedziała naprózno z kolanami do góry wzniesionemi, nie krokorała, jak kokosz, nie orała językiem jak młyńskie koło, nie świegotała, nie tułała się po gospodach, czyli między sąsiadkami, nie roznosiła wieści ani nowinek, ale wiecznie krzątała się po domu przy dziatkach, przy kądzieli, przy apteczce lub spiżarni. W ogrodzie siała nowinki, jako to, ogórki, melony, karczochy, koper włoski do ćwikły, smażyła róże, ziele tatarskie, skórki cytrynowe lub pomarańczowe i inne zioła, przyprawiała wódki, jedne dla toalety wypalane z różnych pachnących ziół i krzewów, ze szpikanardu, lewandy, róży, cyprysu, izopu: drugie dla napitku jako lekarstwo na rano a czasami na noc. Na ciasto sprawiała mąkę, przesiewała krupy perłowe, drób tuczyła w kojcach, robiła kaszę jabłeczną, a płótno wyrobione i wybielone w lecie, krajała i szyła w zimie. Cicha, potulna jak synogarlica, nie znała co to hukanie i fukanie na domowników, wyjąwszy tylko w dnie prania lub pieczenia chleba, w których nawet sam Wojski zaciskał czapkę na głowie i wziąwszy kosztur w rękę, zmiatał między okolenia dworskie, w pola lub do lasu. Jeżeli zaś czasem pan mąż się rozfurjował, to pani żona smyrgała między czeladkę i dopiero wieczorem ubrawszy się w giezłeczka na wieczorny ubiór, bawiąc go pięknemi gadkami, wytarła porządnie kapitułę, przezywając waśniciem lub dobrodziejem.

Jodłowy dworek państwa Godziembów w Grabowcu w Lubelskiem, był niewielki ale schludny i chędogi, po jednéj stronie obszernéj sieni, była komnata i alkierz sypialny, po drugiéj kuchnia i spiżarnia. W komnatach były poławniki pokryte tkanką zwaną szpalerami, na stole leżało rozciągnione sukno zielone, na nim ciękący zegar klepsydra, a po oknach stały szklanki i donice z liljami, konwalją, różą i goździkami. Podłogę w lecie potrząsano pachnącem zielem i kwiatami, majeranem, tatarakiem lub goździkami, przy stole stały zydle, a po bokach stołki jaworowe. Ściany opatrzone były grzędami, to jest kołkami do wieszania sukien, na nich wisiało uzbrojenie wojskowe pana Wojskiego, różne obrazy przedstawiające przedmioty z Pisma św. albo sceny wyjęte ze świeckich dziejów. Pomiędzy tem ścian przystrojeniem, na samym środku znajdował się duży obraz, przedstawiający oboje Wojskich trzymających się za ręce, jako złączonych na wieki, nie tylko stułą kapłańską ale niewygasłą nigdy miłością. Nad rękami był napis *miłość*, nad głową Rotmistrza *honor*, a nad głową żony *prawda*. Po bokach ścian stały jeszcze skrzynie na kółkach do toczenia, a w alkierzu łóżka z materacami, poduszkami i pierzynami okryte wzorzystemi kilimami. Na dziedzińcu wreszcie okolonym płotem żerdzianym z kołowrotem wjezdnym na dwie obracającym się strony, znajdował się gołębnik z liczną gromadą pstrokatego ptastwa, sernik do suszenia serów, studnia z wysokim żurawiem, i rozłożysta lipa ze stołem i ławeczkami, stanowiąca w lecie gęstem swem okryciem jakby namiot, pod którą gromadzono się na posiłek południowy i wieczorny, a nawet przyjmowano przybyłych w odwiedziny sąsiadów. Tam to w krótko rękawnym kaftanie Wojski rad najlepiéj z Plebanem przesiadywał, a wpatrując się to w wieżyczkę kościołka z krzyżem z po za drzew ogrodowych wybiegającą ku niebu, to w pola bałwaniące się dojrzewającem zbożem nadsłuchując śpiewu wiejskich pracownic, bocianiego klekotu z wysokiéj osiki, albo odgłosu sygnaturki kościelnéj, mawiał zawsze do Plebana:

— „Ojcze duchowny, dla rycerza, gospodarstwo to wytchnienie po trudach hartownéj zbroi, zarówno pożyteczne ciału jak duszy. Kto je polubi, nie pociąga go okazałość dworska, ani żądza i wyniosłe przemysły dobrego mienia. Nie trapią go nowiny straszne, zachodzące z różnych państw o wielkiem krwi przelewie za mniemania religijne, i nie przerywa mu snu żądliwa zazdrość dworskich sukcesów. Żywot gospodarza wiąże go z Bogiem, bo co chwila przekonywa się, że wola ludzka, chęć i rozum, to wątłe trzcinki co je łamie swym ciężarem najmniejsza ptaszyna. Kto bez obrazy Boskiéj, krząta się około pola i obory, to pędzi żywot najświętszy i ze wszystkich najuciesznéjszy, będący prawdziwą rozkoszą i najpożądliwszem dobrem. Szczęśliwość takiego żywota ślicznie jeden rymotwórca składnym opisał rymem:

Dobrać jest kondycja na świecie każdego,
Kto się nią kontentuje nie pragnie cudzego,
Niedba tam o intraty i wystawy czyje,
Dosyć na tem, że i on jako szlachcic żyje:
Niedba kto w złotogłowie, kto w sobolach chodzi,
Kiedy i on nie nago, ani mu to szkodzi
Że go i na tureckich minie kto woźnikach,
Kiedy i on nie pieszo. A nawet w trzewikach
Kto chce w złotych niech chodzi, jemu dosyć na tem
Kiedy i on nie boso.

Wojski jednak miał jedno *ale* jasno świadczące że i on grzeszny człowiek. Oto czasami umiał być zawzięty i jak wziął na ząb kogo, to go trudno było udobruchać. Ale prędzéj później, przy zdarzonéj okoliczności, przy zgrabnéj a serdecznéj prośbie, przy mądrem łagodzeniu, Wojski folgował i z zawziętucha stawał się baranek. W dwóch jednak sprawach jak się zaciął, tak nieprzymierzając stał się jak narowna szkapa, któréj nie ruszysz z miejsca ani prośbą ani groźbą.

Jednę sprawę miał z dawien dawna z sąsiadem swoim niejakim Trukaczem, z którym znał się niegdyś w młodych jeszcze latach. Ten Trukacz wątpliwego podobno szlachectwa jak utrzymywał Godziemba, miał zwać się po prostu Truchoń, ale ojciec jego wzięty do dworskiéj służby, umiał tak wlizywać się w łaskę pańską, że z kuchni przeszedł do kredensu, potem za karetę, później w barwie na pokoje, wreszcie ożeniwszy się z faworytą państwa, został ekonomem na oddzielnym folwarku, później rządcą klucza, a w końcu jeneralnym zawiadowcą i plenipotentem. Na tych stopniach faworu pańskiego, dorobił się znacznéj fortuny, nie zawsze drogą prostą ale pewną jak powiadał Wojski, bo go nigdy nie złapano za rękę. W téj to po dworskiéj kniei peregrynacji, z Truchonia przerobił się na Trukacza, a nawet herbem ich pieczętował się mianując się bliskim krewniakiem prawdziwych Trukaczów. C..lo w tem wszystkiem

było prawdy, trudno odgadnąć, ale Wojski byłby się dał w kawałki porąbać za prawdę słów swoich, chociaż Pleban temu przeczył: nieprzyjaźń zaś ztąd urosła między Wojskim a Trukaczem.

Raz pan Godziemba należał do partji która forytowała pana Przyrębskiego: Trukacz znowu forytował swego imiennika, bo choć po śmierci ojca osiadł na wiosce dziedzicznéj, zawsze jednak trzymał się rodu co rodzica podniósł z prochu i do siebie przybliżył. Pan Przyrębski nie szedł z magnatów, ale serce i dusza były u niego prawdziwemi magnatami i jaśniały brylantowym blaskiem: Trukacza zaś forytowanego nie lubiono za pychę, a protegującego za pieczeniarstwo, więc głosy przeważały ku Przyrębskiemu, a przy Trukaczu stali tylko bliżsi mu i zależniejsi. Pewność zatem wyboru Przyrębskiego niepodlegała prawie wątpliwości. Ale przed siecią źle ryby łapać, bo przewagę tę znali dobrze stronnicy Trukacza i postanowili jakimkolwiek sposobem pokonać przeciwników. Mądrowali więc przechadzając się po miasteczku, szeptali, naradzali się, a w gospodzie u Fraima zebrana szlachta, weseliła się tym czasem śpiewając i wiwatując węgrzynem, szafowanym nie skąpą ręką pana Przyrębskiego. I długo tak okrzyki w noc się ciągnęły, wreszcie pomału uciszyły się zupełnie, a miasteczko całe stanęło w uśpieniu odpowiadając echem dwom stawom rechoczącym żabami.

Trukacz Jan, dzisiejszy sąsiad Godziemby, stał właśnie z trzema najlepszemi swemi przyjaciołmi na środku rynku przy studni, zafrasowany wielce wesołością swoich przeciwników. Gdy nagła cisza, niby powiew chłodzącego wiatru, owiała go dokoła, zwrócił się do towarzyszy i rzekł:

— „Pójdźmy i my na wywczas, Przyrębczykom suto przeszedł wieczór, niechże nie mają śmieszków, gdy jutro z niedospania zobaczą nas blademi.

— „To i pójdźmy“ — odrzekł Jaskulski — „ale nie wadzi zajrzyć do gospody, może którego uda się zachwycić w jakiéj ucieszném przygodzie, to się uśmiejemy z naszemi po uszy.“

— „Wam panie Jaskulski“ — odrzekł trzeci — „tylko nowinki i zabawki w głowie. Przyrębczyki to szpaki i gotowi nam prędzéj jakiego psikusa wypłatać.

— „Co? — oni? — zapytał Jaskulski przekręcając rogatywkę na bakier—„do miljon bomb, nie z takiemi uwijałem się po świecie graczami, a żaden mi nawet nie dmuchnął po nosie, to ich się nie lękam.

— „To i pójdźmy do gospody“ — odezwał się na to Trukacz nie stroniący nigdy od wszystkiego co o figiel lub wesołość potrącało — „pójdźmy, przecież nas nie zjedzą, a dobrze będzie zachwycić co uciesznego. Ja tylko na Godziembę mam ochotę, bo to ptaszek, co nam najwięcéj złego narobił i zawsze śpiewa na inną za mną nutę.

Kiedy weszli do wjezdnéj bramy, usłyszeli tylko chrapanie spiącéj szlachty, pokotem rozłożonéj na sianie. Przy furtce od samego brzegu, stał koń chrupiąc owies z szafla na żłób przerobionego, a przy nim spał Godziemba z głową opartą na kulbace, okryty lekkim dywanikiem i z ubraniem tuż przy sobie ułożonem. Jak go Trukacz poznał, położył palec na ustach na znak cichości, i milczkiem chwyciwszy buty i część najpotrzebniejszego ubrania, na palcach wyniósł się na dwór.

— „A to się nam udało“ — rzekł do towarzyszy ale dopiero o podal od gospody, lękając się aby napaści czujna szlachta nie odkryła. Tą razą podstęp się przecie udał, co tak rozweseliło Jaskulskiego, że buchnął wielkim śmiechem mówiąc:

— „To mu Przyrębski kością stanie w gardle, jak jutro niby Wenus rzymska wypadnie mu dosiąść konia. Wiwant pan Jan Trukacz! co natrukał frasunku panu Godziembie.

— „Wiwant! powtórzyli towarzysze i cichaczem wyruszyli ku własnéj gospodzie, chowając starannie zdobycz nocnéj wyprawy.

Na drugi dzień w gospodzie Fraima, zawrzało prawdziwe piekło. Godziemba sądząc, że mu który z towarzyszy zrobił takiego figla, zaczął szukać, posądzać, przymawiać i kręcąc się na bosaka, rwał się co chwila do szabli co jeszcze śmieszności więcéj przydawało. Towarzysze sumitowali się, zaklinali, Godziemba więc zwrócił się do Fraima, grożąc zburzeniem całéj gospody, jeżeli zguba natychmiast odszukaną niezostanie. Ale wszystko było napróżno, a każdy choć stroił minę w powagę, śmiał się jednak skrycie, z kłopotu Godziemby. Wnet też wiadomość o zgubie rozeszła się po całem miasteczku, na rynku tworzyły się kupki z mieszczan, szlachty i żydów, i wszędzie gdzie tylko było rzucić uchem, nazwisko Godziemby brzmiało we wszystkich ustach. Sam zaś poszkodowany siedział w izbie zły jak potępieniec, kręcił wąsa, klął i odgrażał się chroniąc się pod ścianę, ile razy ciekawi zbliżali się ku oknu, pragnąc na własne oczy oglądać szlachcica, jak też wygląda po tak niewygodnéj zgubie. Kiedy wreszcie przy pomocy sąsiadów bliżéj mieszkających, umyślnie wyprawionym po rzeczy posłańcem, mógł się pokazać pomiędzy ludźmi, wszędzie gdzie się obrócił wytykano go palcami, a nawet ze szwargotu żydowskiego krążącego koło jego nazwiska jak nitka około kłębka, poznał z wielkim żalem, że rozmawiają tylko o nim i o niefortunnym jego wypadku. Kto jednak był sprawcą złego, trudno się było dowiedzieć, bo Trukacz z towarzyszami, zamurowali sobie usta, i tylko parskaniem śmiechu i pokręcaniem głowy odpowiadali na wszystkie do nich dochodzące wieści. Tajemnica zaś ta była konieczną i bardzo rozumną, bo odkryta płazem by nie przeszła. Wojski milczał, tylko jak sum w matni rzucał się i pokręcał wąsem. Ale na tem nie skończyło się.

Późniéj bowiem gdzie się tylko znalazł w większem zebraniu, i chciał czy réj zawieść, czy przemówić, czy zaśpiewać, to jak tylko pragnął mu kto na złość zrobić, zamknąć usta i zbić z animuzu, wyrzekł jeden wyraz *zguba!* i zachichotał, Godziemba natychmiast milknął jak młyn od zastawy, kraśniał jak piwonja i krył się w najciaśniejszy kącik, żeby się ustrzedz choćby jednego ludzkiego oka. Wyraz ten nieszczęśliwy *zguba*! tak mu był nienawistny, że w obecności jego, lękano się nawet wzmianki o nim zrobić. Ale trwało to tylko lat kilka, dopóki pan Godziemba nie zmądrzał i nie zaczął sam przydawać śmiechu do żartów jakich był celem. Najbardziéj wybiła mu to z głowy poczciwa żona, nazywając to manjactwem a przytem całując męża, śmiejąc się i żartując z taką szczerością, że w końcu roześmiał się sam Godziemba, i potem śmiał się z każdym sam przypominając wypadek, który mu tyle zmartwienia narobił. Wtenczas to zaczęło na wierzch wyłazić kto był do tego przy-

czyną, a chociaż wyraźnie nie wymieniono Trukacza, rozważając jednak wszystkie wypadki, doszedł w końcu domysłem i rozważaniem, że on nie kto inny zapłacił mu figlem za uporne trzymanie się partji Przyrębskiego. Ale w swem dziwactwie był już wtenczas oprzytomniony, więc wieści puścił mimo uszów i zaprzestał wszelkich wywiadywań.

Nieszczęście jednak chciało, że Trukacz nadspodziewanie w lat wiele potem, został sąsiadem granicznym z panem Godziembą, że zaś był to człowiek bardzo niespokojny, zaraz wkrótce rozpoczęły się swary o kawał lasu i pastwiska, do jakich rościł sobie wyłączne prawo. Wprawdzie posiadłości te dotąd wzajemnie były używane, i nikomu nie przyszło nawet do myśli, utworzenie pewnéj granicy; według nawet podania miejscowego, należały wyłącznie do wsi pana Godziemby Grabowca, gdyż lasy i pastwiska wsi Trukacza Niwki, położone były z przeciwnéj zupełnie strony i żadnéj łączności nie miały z pastwiskami i lasami Grabowca. Przypuszczać więc na pewne można było, że Niwka prawem kaduka wdarła się w posiadłość Grabowca. Znali to wszyscy, ale Trukacz w takie subtelności się nie wdawał, i jak tylko posiadł Niwkę, postanowił korzystać z nieoględności sąsiedzkiéj i żądaniem całości zapewnić sobie posiadanie choć połowy. Ztąd zwada po zwadzie, zapozwy, zajmowania, sądy i wieczna wojna. Do niéj jednak nie odrazu, przyszło, i nie zaraz Trukacz zaostrzył ząb na mienie sąsiada. Godziemba, bowiem, nie mogąc zapomnieć zawziętości na Trukacza za figla jak tylko ten usadowił się na nowem dziedzictwie, zaraz rozgadał rodowód o nim, że jest Truchoniem a nie Trukaczem i że ojciec jego łapczywością ręki przyszedł do majątku. Pogłoska rozeszła się po okolicy i widać że wiele musiała mieć w sobie prawdy, skoro Trukacz przychajczył się w domu jak zając pod miedzą, i z początku nieśmiał nawet nosa pokazać między ludźmi. Ale zato rozgorzał nieubłaganą nienawiścią do Godziemby, i natychmiast rozpoczął wojnę o las i pastwisko przesadzając się w dowcipie dokuczenia sąsiadowi. Pleban upominał Godziembę o hamowanie języka, ale ten choć przyrzekał, nie zwał inaczéj Trukacza tylko ekonomczukiem i dworską liziłapą albo inaczéj jeszcze obelżywiéj. Raz nawet z takiemi przydomkami posłał list do niego, zgoda więc była niepodobną.

(d. c. n.)

Paryż d. 29 Czerwca 1866 r.

Panie Redaktorze!

Przeglądając pisma świeżo wychodzące w Warszawie, które przypadkiem aż tu do nas zawędrowały, znalazłam w nich urywkowe zdania, dowodzące pewnéj niechęci, do pism modom poświęconym. Wprawdzie na podobne wystąpienia zwykle nie zważa się, ale jako stała korrespondentka Tygodnika Mód i to od pierwszéj chwili jego pojawienia się, przez sam szacunek dla siebie i Czytelniczek, do kilku słów odpowiedzi czuję się obowiązaną.

Dobrze powiedzieliście Redaktorze, że moda stary to wyraz jak świat. Co prawda pierwotne ludy nie czerpały wzorów z Paryża, wiemy jednak, że używały odzieży własnego pomysłu i wynalazku, czy to z liści figowych i skór zwierząt, czy z tkaniny lnianéj lub wełnianéj, zastosowanéj krojem i przyrządem, do kształtów ciała ludzkiego. Przekonani zatem jesteśmy, że i dziś nie brakłoby Czytelniczkom naszym, twórczéj wyobraźni do wymyślenia sobie odzieży, na każdą porę roku, choćby żaden Tygodnik Mód, nie dostarczał im krojów odpowiednich.

Moda, w ścisłem znaczeniu wyrazu, ma na celu zastosowanie siły twórczéj człowieka do ubioru i do otaczających go przedmiotów. Jeżeli Paryż jest stolicą mody, nie idzie zatem żeby miał być stolicą ludzi lekkomyślnych i trzpiotowatych. Przeciwnie nawet, zarzut lekkomyślności tak często czyniony Francuzom, zupełnie jest niesłuszny. Francuzi są narodem głęboko myślącym, który umiał połączyć surową w formie powagę Skandynawów i Anglików, z bogatą fantazją Hiszpanów i Włochów. Łatwość nadzwyczajną w formach zewnętrznych, jaką wyrobili w sobie Francuzi, obok głębokiéj mądrości, my bierzemy błędnie za lekkomyślność. Prawda że ośmiodziesięcioletni Francuz jest w formach towarzyskich równie delikatny i świeży, jak dwódziestoletni dobrze wychowany młodzieniec, ale czyż godzi się to uważać za dowód trzpiotalstwa, a nie za skutek wysokiego wyrobienia umysłowego? Toż samo powiedzieć możemy co do kobiet. U nas pięćdziesięcioletnia kobieta zaniedbuje się zwykle w ubraniu, siedzi skulona, chodzi pomału, jakby ją ciało pociągało do ziemi; gdy tymczasem francuzka w tychże latach, prosta jeszcze, żywa i wyświeżona. Mamyż więc w tem przedwczesnem zaniedbaniu, widzieć dowód przewagi naszéj umysłowéj, nad Francuzami? nie powiadamy żeby ta wieczna młodość Francuzów, nie pociągała za sobą niekiedy wiele złego, jak też nie potępiamy téj przedwczesnéj starości przyjętéj u nas w formie; są to rzeczy względne. Chcemy tylko wyjaśnić znaczenie mody w Paryżu, i wykazać dla czego ona ma tak wielką przewagę w całym świecie. Taż sama łatwość która się objawia w Paryżu w tworzeniu mód, objawia tu się na polu naukowem. Patrzmy naprzykład, na popularne wykłady owych wielkich profesorów, którzy usiłują uczynić dostępnemi dla ogółu najzawikłańsze nauki, nadając im formę lekką i łatwą. Jeżeli zaś mowa o zbytkach, to one tak samo się objawiają i w nadużyciu nauk, jak w nadużyciu strojów. Kosztowne ubranie przechodzące możność, doprowadza do nędzy; tak samo nauka jeśli padnie na umysł źle do niéj przysposobiony, wysusza wiarę w sercu i doprowadza do zepsucia. Nie idzie zatem żeby tak nauka, jak moda nie miały dodatniéj swojéj strony; pierwsza bowiem rozszerza zakres wiedzy ludzkiéj, druga wyrabia smak artystyczny. Ci którzy uważają za rzecz szkodliwą zmiany w ubiorach, powinniby zarówno potępić wszelkie zmiany w objawach literatury i sztukach pięknych, które mają również na celu wyrobienie uczucia piękna.

Póki na świecie będą kobiety, póty estetyczna ozdoba w ubraniu, musi odgrywać wielką rolę. Zacne prababki nasze, tak słynne w świecie cnotą i surowością obyczajów, trzymały się panującéj w ich czasach mody, równie jak dzisiejsze kobiety. Najrozsądniejsze z nich powstawały zapewne na nadużycia w zbytkach, lecz ubierały się niemniéj stosownie do możności i położenia swego.

Mylnie jest także sądzić, że za dawnych czasów moda nie ulegała przemianie. Weźmy naprzykład zbiór rycin Matejki, przedstawiający ubiory dawnych Polek od XII do XVIII wieku, jakaż tam panuje rozmaitość, jakże jedne niepodobne do drugich. Jeśli zaś owe mody porównamy z modami francuzkiemi owych czasów, przekonamy się, że były z niemi w ściśléj harmonji, tak samo jak wszelkie płody literatury, i inne objawy myśli ludzkiéj, budownictwo, rzeźba i t. p.

Przyjąwszy za zasadę wyrób jedności, cywilizacji, wszystkich ludów Arya Europejskich, nie możemy potępiać wyrobu tejże jedności w rzeczach mody. Okoliczność ta ważniejszą jest niż się zdaje na pozór, zbliża bowiem ludy do siebie. Dziwnem też jest potępienie możniejszych warstw społeczeństwa, za to, że zostają pod wpływem narodu, który celuje pod względem gustu i zmysłu estetycznego nad innemi. Chcianożby abyśmy czerpali pobudki do formy stroju dla kobiet naszych, od ludów koczujących po Azyatyckich stepach? Gdybyśmy się odwrócili od reszty Europy w formie stroju, wówczas musielibyśmy odwrócić się równie i w innych wyrobach umysłowych. To przecież nastąpić nie może, gdyż nastrój nasz cały, ze wszystkiemi dobremi i złemi następstwami, jest w harmonji z całą Europą, i stanowi nieoddzielną jéj cząstkę.

Nadużycie słów, szkodliwsze niekiedy bywa od nadużycia mody paryzkiéj, gdyż nadużywając mody tracimy tylko pieniądze, gdy tymczasem nadużycie słów takich, gdyby im ogół uwierzył, przyprowadziłoby go do stokroć większego, bo moralnego zubożenia. Do takich niepotrzebnych słów, liczemy to bezwzględne potępianie wszystkiego co czerpiemy z Francji.

Nie idzie nam tu bynajmniéj o własną obronę, ani o obronę Francuzów; ale tylko o sprostowanie błędnego mniemania, jakobyśmy powinni wyłamać się z pod wpływu narodów Europejskich, i rozerwać łączącą nas z niemi harmonją.

Co do zbytku, nikt od nas nie jest silniéj przekonany, o szkodliwym jego wpływie na społeczeństwo, dla tego nie było nigdy zamiarem naszym zachęcać do nich polskie czytelniczki. Gdyby redakcje znały dobrze tutejsze pisma poświęcone modom, nie oskarżałyby nas zapewne, ale podziękowały Redakcji Tygodnika, że nie żałuje nakładów na zmodyfikowanie tego, co jest dla nas zbytkowem. Jeżeli zaś piszemy o modach, to nie zbieramy wzorów z półświata Bulwarowego, ale opisujemy to tylko, co uważamy za najskromniejsze i najpraktyczniejsze. Bogaty Paryż będąc miejscem zebrania najzamożniejszych rodzin z całéj kuli ziemskiéj, nie może być bezwarunkowym wzorem stroju dla Czytelniczek naszych. Wprawdzie nasze sprawozdania, mogłyby być pobudką do zbytków, gdyby która z Czytelniczek, chciała mieć koniecznie to wszystko o czem piszemy; ależ w takim razie, wina nie ciężyłaby na nas, lecz na niéj saméj.

Trudno żebyśmy mogli ograniczyć się na opisaniu jednéj tylko sukni, jednéj okrywki i jednego kapelusza na każdą porę roku z obawy, żeby któréj z Czytelniczek naszych nie przyszła chęć kupienia drugiego ubrania. Dając ich obraz, nie szczędzimy nigdy rad i uwag zastosowanych do naszych potrzeb, gustu i położenia; robiemy więc wszystko co do nas należy, rozsądek zaś Czytelniczek Tygodnika Mód dokonywa reszty. *Seweryna z Żo. D.*

Pogadanka Tygodniowa



niemałym jestem kłopocie jak wybrnąć dzisiaj z obowiązkowéj co tydzień pogadanki. Upały bowiem w jakich pławiemy się od pewnego czasu, nie tylko wysuszają myśl, odbierają swobodę jéj rozwijania się, ale krępują i rękę i głowę takiem lenistwem, że nawet libacje bambusowe podobno niewieleby pomogły. O torturach tych miejskich, mieszkańcy wiosek najmniejszego nie mają pojęcia. Tam w przestworzach polnych zabłąka się czasem jaki wietrzyk; role, łąki, wody, chłoną promienie słoneczne; roślinność czyści powietrze i oddech robi miły, orzeźwiający, drzewa dają cień i chłód, a ubranie pozbawione wszelkich nadzwyczajnych dodatków, mniej nuży i dokucza. Ale w Warszawie, kiedy upały dojdą w cieniu do 29 stopni a na słońcu do 35, jakie właśnie przebyliśmy, kiedy bruk, barjery, ściany, dachy, tak się rozpalą, że w dotknięciu parzą, wtenczas powstaje taki skwar i duszące powietrze, że biedni Warszawiacy prawie do rozpaczy przychodzą, zapominając o wszystkiem.

Rady zaś na to nie ma żadnéj, albowiem w domu jak w piecu, na ulicy kurz, w ogrodach dzięki długim sukniom pył aż krztusi, wszędzie par, skwar, w plecy pali, w oczy szczypie, w nosie kręci, i każdy oblany potem jak wodą, ledwo ruszać się może posuwając się krokiem raka lub żółwia. Osłony niby nie brakuje bo go dostarcza każda ulica po jednéj stronie, ale cień ten zabezpiecza tylko od słońca nie zaś od upału, a nie darzy nigdy prawie najlżejszym powiewem powietrza. W samym więc środku lata, Warszawa nieznośną się staje i nic dziwnego, że kto tylko może ucieka z niéj, między lasy, pola lub w nabrzeża morskie.

Od tygodnia przechodzą czasami deszczyki, ale tu trzebaby całych strumieni wody żeby się powietrze cokolwiek ochłodziło. W téj spiekocie codziennéj, w nocy przemieniającéj się w hutniczą atmosferę, bo wszystko stygnąc zieje ogniem, trawiącym zwykły

chłód nocy, ogród botaniczny wygląda jak pogorzały, trawniki czernią się zapomniawszy dawno o wiosennéj zieloności. a liście na drzewach, jako zwęglone opadają przed czasem z jesiennym szelestem. Nawet poziomki dostarczane z okolic na targi Warszawy, są gorzkie i niesmaczne, tak że ich prawie jeść nie można. Na wirydarzach nowo założonych, drzewka strasznie wyglądają smutnie, smutniej jeszcze kwiatki szarpane niegodziwą ręką, a najsmutniéj ten brak dojrzałości, objawiającéj się przedewszystkiem w szanowaniu cudzéj lub publicznéj własności. Wprawdzie do dokładnego rozwinięcia się téj cnoty trzeba wielu warunków, ale złe mogłoby być mniejszem, gdybyśmy z siebie zawsze, starali się dobry dawać przykład. Tymczasem zupełnie jest inaczéj, w hotelach po dywanach chodziemy z zabłoconem obuwiem zapałki pocieramy o najkosztowniejsze obicia, cygarniczki i ręce ocieramy firankami, podłogi brukamy, pożyczone książki niszczemy lub traktujemy jak dobrą zdobycz, cóż więc dziwnego, jeżeli gawiedź wykrada z akwarjum botanicznego ogrodu żółwia, zabija chowaną tam wydrę, wyrywa drogocenne krzewy i chciwą rękę wyciąga po kwiatki w wirydarzach rosnące? Gdybyśmy sami pod tym względem więcéj byli skrupulatni, obudzona u nas czujność, stanęłaby na straży publicznéj własności, i otoczywszy ją spojrzeniem tysiąca ócz, najlepszą stanowiłaby obronę, przed napaścią miejskich szkodników. Za granicą tak się nie dzieje, najpiękniejsze ogrody pozbawione wszelkiéj straży, oddane są pod publiczną opiekę i nie zginie z nich jeden nawet listek lub trawka. W muzeach, gabinetach, starsze dziewczynki przestrzegają młodsze rodzeństwo, aby się przedmiotów niedotykały, u nas, sam widziałem znajomych mi młodzieńców jak rwali pokryjomu oglądając się co chwila, piękne dubeltowe lewkonje i jak te same lewkonje obwijały potem panienki w chusteczki, aby przy wyjściu z ogrodu, ukryć szkodę i.... kradzież, przed służbą miejscową. Podobno jeden z tutejszych ogrodników złapanemu na podobnym uczynku gościowi, utworzył proces o wynagrodzenie zrządzonéj szkody. Nie ma wątpliwości że obwiniony ulegnie karze pieniężnéj, ale gdyby dołączono do niéj kozę trzechdniową o chlebie i wodzie, serdecznie bym się z tego ucieszył.

Większe zamiłowanie pracy nauczy szanowania cudzéj, dlatego rzuconą myśl, aby Panie przybywające do Doliny Szwajcarskiéj przynosiły z sobą robótki, bardzo pochwalam. W każdym razie ustrzeże ona od głośnéj rozmowy w czasie gry artystów, niemiłéj i nieznośnéj zarówno dla słuchających jak i dla dyrektora Bilzego. Po co takie towarzystwa głośno rozprawiające przybywają do Doliny i do tego sadowią się jak najbliżéj orkiestry zupełnie nie pojmuję.

Zagranica nowym nas obdarzyła produktem. Są to wianki z nieśmiertelników z przygotowanemi już napisami: mojemu ojcu, matce, siostrze lub bratu, jakie zwykle składamy na mogiłach, w uczczeniu pamięci zmarłych. Aż przykro pomyśleć, że nawet w tak drobnéj rzeczy wyręczamy się cudzemi rękami jakby u nas nie było tyle ubogich panien, których rączki przy wiciu podobnych wianków prześlicznieby wyglądały.

O UBIORACH.

Nadzwyczajna rozmaitość panuje w teraźniejszem ubraniu, zwłaszcza co do ozdoby sukien. Wiele bardzo daje się widzieć przybranych u dołu wolancikami mniéj więcéj na ćwierć łokcia, z wypuszczoną do góry główką. Jakoż do lekkich sukien czyto z bareżu czy z muślinu kolorowego, wolancik ładnie i świeżo wygląda. W ogólności na ulice noszą spódniczki z takiemiż samemi paletocikami rozmaitego kształtu. Do najmodniéjszych należą paletociki wcięte do figury, z tyłu roztwarte aż do pasa, i tworzące jakby dwa spiczaste zęby w bokach, są one znacznie podcięte w górę, z przodu idzie znów przedłużenie. Formę tę zowią *peplum*, od podobnego ubrania dawnych kobiet Rzymskich.

Inne znów paletoty, skrócone są i w tyle i z przodu; po bokach zaś przedłużone mocno i rozcięte, tworzą dwa ostre zęby, każdy ząb zakończony kwascikiem.

Wszystkie w ogólności paletociki czy też baskiny przypinane, robią się zupełnie gładkie na biodrach, fałdowane są niezgrabne i nie odpowiadają warunkom obecnego ubrania. Noszą także do kolorowych spódniczek paletociki czarne kaszmirowe, naszyte całe w rzucik, drobnemi pacioreczkami z lawy; niekiedy u brzegu wyszyty jest szlak odpowiedni, częściéj jednak zastępuje go po prostu pletnia przerabiana pacioreczkami lub sieczką albo też odpowiednia frendzelka. Widzieliśmy w magazynie panien Kuhnke podobne paletociki przybrane gipiurą czarną na dwa lub trzy palce, naszytą paciorkami stosownie do jéj deseniu. Ponieważ tybet ciągnie się i przylega do sukni, zazwyczaj paletoty te podszywają lekką marseliną czarną lub fularem. Forma w nich nie wiele wpuszczona do figury. Naszycie paciorkami bardzo łatwo wykonać w domu, na podszewkę może służyć stara suknia, a więc taka okrywka połowę zaledwie kosztuje od jedwabnéj, a równie ładnie ubiera.

Używane także do pokoju krótkie kaftaniczki, zaokrąglone z przodu, bez rękawów, z tybetu czarnego, naszyte białemi pacioreczkami mat, brzegiem zakończone wązkim szlaczkiem z takichże pacioreczek. Kaftaniczki z tybetu białego, niebieskiego lub pąsowego, naszywają czarnemi pacioreczkami.

Panienki do lat 14-stu nosić mogą kaftaniczki takie i na ulicę, dla starszych mniéj właściwe. Bluzka muślinowa z długiemi rękawami niezbędną jest do takiego kaftanika.

Suknie fularowe bardzo modne w tym roku noszą je w rozmaitych kolorach, najwięcéj w paski koloro-

we z białem, lub w kolorowy rzucik złożony z muszek, kółek, albo listków na tle białem, szamoa, popielatem i t. d. Wiele także widać zupełnie gładkich sukien fularowych w niewarowym kolorze, te zwykle przybierają odmiennym fularem, brązowym, szafirowym albo lilla. Spódniczka na spód bywa niekiedy takaż sama. (Mówiemy tu tylko o dole spódniczki, o tyle, o ile go widać z pod sukni podniesionéj, byłby to bowiem zbytek niepotrzebny, gdyby kto chciał nosić całą spódnicę z tego samego jak suknia materjału.)

Odznaczała się ładna suknia fularowa szara, którą tu szczegółowo opiszemy. Spódniczka na spód, miała u dołu falbankę lilla fularową, zakończoną czarnym rulonikiem. Wierzchnia spódnica, objęta pliską lilla z czarnemi brzeżkami, podpięta była w festony na każdym brycie, w miejscu podpięcia szły klapki kwadratowe (losanges) z fularu lilla, objęte wypustką czarną, położone w ukośnym kierunku, klapki te miały po sześć cali w kwadrat. Miejsce stanika zastępował paletocik *peplum*, wycięty w wielkie zęby, spadające z tyłu i z przodu, objęte pliską lilla. Rękawy wązkie ścięte do łokcia, przybrane były odpowiednio. Pasek lilla zakończony z przodu rozetą przepasywał z wierzchu paletocik.

Suknie z białego gładkiego fularu, używane także na ślubne ubranie. Zazwyczaj taka suknia robi się pod szyję, przybiera ruszą z materji, wystrzyganéj w ząbki albo po prostu jedwabnym sznurem.

Do teatru ładnie się wydają białe rotondy z koronki wełnianéj *Yack* i paletociki z czarnéj Lamy; niektóre podszywają marseliną białą lub kolorową.

Tegoroczną nowość stanowią szarfy koronkowe czarne z długiemi końcami, używają na to wełnianéj koronki Lama, która nie jest bardzo kosztowna. Szarfa taka podszyta różową lub niebieską marseliną, ładnie bardzo wygląda, na sukni czarnéj lub białéj muślinowéj.

Nigdy jeszcze kapelusze nie miały tak dziwacznej formy i tak maleńkich rozmiarów jak w tym roku, nigdy tak nie chybiały właściwemu przeznaczeniu. Z rozmaitych fasonów najwięcéj przyjęty jest kapelusz *Lamballe* w kształcie okrągłego talerza związany pod brodą na szerokie szarfy. Ubranie składa się zwykle z wieńca drobnych kwiatków, który tworzy diadem nad czołem, odwraca się potem do tyłu, przechodzi przez kapelusik i spada na koki. Widzieliśmy takie kapelusiki z białéj illuzji, przybrane wieńcem z niezapominajek, konwalji liści bluszczowych lub innych drobnych kwiateczków.

Najmodniejsze parosolki średniéj są wielkości pokryte szarym fularem z podszewką szafirową, pąsową lub lilla. Brzegiem pokrycie wycięte w okrągłe zęby, objęte rulonikiem takim jak podszewka.

W zakończeniu naszego sprawozdania polecamy Czytelniczkom zakład szycia sukien i wszelkich okryć damskich, otworzony przez panią Izabellę Siarczyńską przy ulicy Krakowskie Przedmieście Nr. 431 nad apteką Hakebejla. Od lat kilkunastu zajmując się tą pracą, trudem, mozolem i staraniem, siostry Siarczyńskie zyskały uznanie, i coraz liczniejsze obstalunki. Pragnąc przez to pracę swą na większą rozwinąć skalę, założyły Magazyn mód, a raczéj szwalnią sukien i okryć, gdyż urządzenie właściwego magazynu, byłoby dziś rzeczą nader ryzykowną. Jeżeli jednak zdobytę dotąd ciężką pracą zaufanie w zdatność i sumienność siostr Siarczyńskich, będzie się rozszerzać jak na to zasługują, właściwe urządzenie zakładu bezzwłocznie nastąpi, tak aby każdemu żądaniu czy w wyborze rzeczy gotowych czy na obstalunek mogły zadosyć uczynić.

Nieskłonni do poleceń, robiemy tylko wyjątek dla każdéj sumiennéj pracy, któréj stopniowy rozwój jak u siostr Siarczyńskich, najlepiéj na ich korzyść przemawia.

Opis deseni do haftu i sukien z baskinami.

N. 1 i 6. Szlaczki do bielizny haftem francuzkim czyli atłaskiem. — N. 2 i 25. Desenie na wstawki. — N. 3 i 4. Kołnierzyk i mankiet webowy haftowany ściegiem pocztowym czyli konturowym włóczką czarną odpowiednio cienką lub jedwabiem. Środkowy deseń w kwiatku do haftu atłaskowego białą bawełną z krateczką w środku. —N. 5 Litery *M L* do znaczenia poszewek Linijki poprzeczne oznaczają kratkę ażurową. — N. 7 *Anna* do znaczenia chustki od nosa. — N. 8 Ząbki na falbankę. N. 9 Deseń na wstawkę lub do ozdoby czepeczków nocnych i bluzek muślinowych służyć mogący. Liście haftują się w połowie atłaskiem, a w drugiéj połowie wypełniają drobnym stembenkiem. — N. 10 Kołnierzyk haftowany czarną bawełną, ptaszek i reszta desenia wykonywają się ściegiem konturowym, punkciki zrobione są wypukło. — N. 11 i 12. Kołnierzyk płócienny z przedłużonemi końcami na przodzie, wyszyty również czarną bawełną ściegiem pocztowym. — N. 13 14 i 15. Desenie na falbanki i rozmaitgo innego użytku. — N. 16 i 17. Narożniki do białych muślinowych krawatek. Na jedwabnych czarnych krawatkach można narożniki te wyhaftować kolorowym jedwabiem, z dodatkiem czarnych perełek. — N. 18 i 23. Desenie do wyszycia sutaszem lub ściegiem łańcuszkowym, na spódniczki, sukienki dla dzieci lub serwety sukienne; w tym ostatnim razie piękniéj wydaje się sutasz jedwabny. —. N. 24. Szlak do białéj spódniczki nad gładkim obrębem W listkach krateczka ażurowa, gronka haftują się wypukło. Ten sam deseń służyć może do penioaru, kaftanika negliżowego lub bluzki. — 26. Szlaczek do bielizny damskiéj. N. 27. Beduina „Andalouse". Na beduiny powszechnie używany jest korcik kaszmir, *elastyna* rodzaj wełnianego wyrobu jakby plecionego i flanelka zwana: bain de mer. Wzór nasz przedstawia beduinę z popielatego korciku, objętą w około popielatą wypustką jedwabną. Część formująca kaptur z tyłu, naszyta jest w środku materją popielatą, wstawką czarną gipiurową i guzikami. Kwasty przytem popielate. Do zrobienia beduiny tej dla osoby średniego wzrostu potrzeba materjału 370 centymetrów czyli 6 i 1/4 łokcia na naszą miarę i 130 centymetrów czyli 2 i 1/4 łokcia szerokiego. Szerokość formuje długość z tyłu beduiny; przody powinny być o cwierć łokcia krótsze. Obrąb beduiny można także z prawéj strony wyszyć ściegiem łańcuszkowym popielatym jedwabiem. Ładne. to okrycie szczególniéj zalecamy osobom wysokiego wzrostu. Cena gotowego od 20 do 26 rs. — N. 28 Sukienka biała pikowa wycięta u dołu w śpiczaste zęby, objęte białą pletnią. Powyżéj zębów takaż pletnia trzy

razy naszyta. Stanik kwadratowo wycięty, ozdobiony pletnią i zębami, w których mieszczą się guziki z konchy perłowéj, przyszyty jest do spódniczki ułożonéj w siedm kontrafałdów i opasany paskiem pikowym, zakończonym z tyłu rozetą. Długość spódniczki dla dziewczynki od 4-ch do 6-ciu lat powinna mieć 44 centymetrów, szerokości 200 centymetrów. Na obrąb trzeba przypuścić 4 centymetry, N. 29 i 30. Paletocik pikowy odpowiedni sukience, ubrany pletnią i guzikami perłowemi. Sukienka biała niewątpliwie najpiękniéj, bo najświeżéj dziecko ubiera, przyznać jednak trzeba, że w przygotowaniu jéj: pranie i prasowanie wiele wymaga zachodu i trudu, co dziecko przy zwykłéj żywości mało szanuje. Radziemy przeto osobom niemającym służby dosyć zręcznéj, z którą w każdym razie i tak wiele bywa kłopotu zastąpić pikę alpagą białą w kolorowy rzucik; sukienka taka długo się nosi, nadzwyczaj jest lekka, i jeszcze ufarbowaną być może. — N. 31. Suknia z białego *toile de chèvre* w popielate paski. Spódnica krajana w kliny wycięta jest u dołu w płaskie zęby, stopniowo coraz większe ku tyłowi, objęte czarną jedwabną skośną pliską, przystebnowaną w maszynie białym jedwabiem. Spódnica tak z przodu jak i z tyłu ma tylko po jednéj dużéj dubeltowéj kontrafałdzie, boki zupełnie są gładkie. Stanik gładki zapięty z przodu na guziki czarne jedwabne Baskina wszyta w pasek przypina się osobno i tworzy ze stanikiem zgrabny paletocik. Epolety i mankiety przy rękawach, jak również baskina, wycięte mają zęby mniejszego rozmiaru. Wstążeczka czarna 5 centymetry szeroka, ułożona w pukielki przy szyi i zakończona u dołu grelotkami, uzupełnia to ładne spacerowe ubranie. — N. 32. Baskina przypinana do wyżéj opisanéj sukni. Boki są otwarte. Przednie części krótsze od tyłu. —N. 33. Baskina innym fasonem zwana *Roxelane*. Za całą ozdobę téj baskiny służy skośna pliska z tego samego materjału, na 2 centymetry szeroka, objęta z obydwóch stron wypustką. Wzór przedstawia baskinę z popielatego *moheru* do takiejże saméj sukni. Guziki przy niej kościane, podszyte jedwabnym sznurkiem fijołkowym w ten sposób, że we dwoje złożony sznurek naśladuje obdzierganą dziurkę. Pasek z moheru 4 centymetry szeroki, podszyty muślinem i zakończony z przodu kokardą zapina się na haftki.— N. 34. Suknia i paletocik z fularu albo z alpagi koloru niewarowego (écru), na spódniczce z takim samym szlakiem jak suknia. Patki do podpinania sukni podszywają się muślinem, obejmują brązowym fularem i zaopatrują guzikami brązowemi. Suknia krajana w kliny ma u dołu 8 łokci obwodu, z tyłu dłuższa jest o ćwierć łokcia jak na przodzie, żeby nie zawadzała w chodzeniu po pokoju. Gdy suknia podszyta z lewéj strony listwą, naszywają się w prostym kierunku, ku górze z prawéj strony 24 patek, czyli klapek po półtory ćwierci długie, a ćwierć szerokie. W górnéj części sukni znajduje się tylko 6 takich po 5 ćwierci długich klapek, a każda z nich wykrojona z dubeltowego fularu i wykończona na sztywnym muślinie w środku. Górne klapki zaopatrują się trzema obdzierganemi otworami do guzików, znajdujących się przy sukni w takimże co i klapki kierunku. Przy podpinaniu sukni łączy się górna klapka z dolną, jak to figura wskazuje; w razie nie podpięcia sukni patki stanowią ładną ozdobę. Suknia u góry układa się z przodu w szeroki podwójny. a z tyłu w potrójny fałd; na biodrach jest zupełnie płaska, Ubranie z patek powtarza się na paletociku i rękawach. Pasek fularowy mający 2 cale szerokości, również objęty brązowym fularem i zakończony tak z tyłu jak i na spięciu płaskiemi kokardami. — N. 35. Wzór powyżéj opisanéj sukni podpiętéj na białéj perkalowéj spódniczce, obłożonéj szlakiem fularowym jak suknia, trzy ćwierci łokcia szerokim. N. 36. Kapelusz okrągły z białéj włosienicy lub słomy brukselskiéj, otoczony wieńcem liści bluszczowych i czarną aksamitką z długiemi końcami.

Opis stanika z baskiną dla dziewczynki od 7 do 9 lat, bluzki muślinowéj z kwadratowym wykrojem dla dziewczynki od 4 do 6 lat i dwóch deseni do wyszycia spódnic.

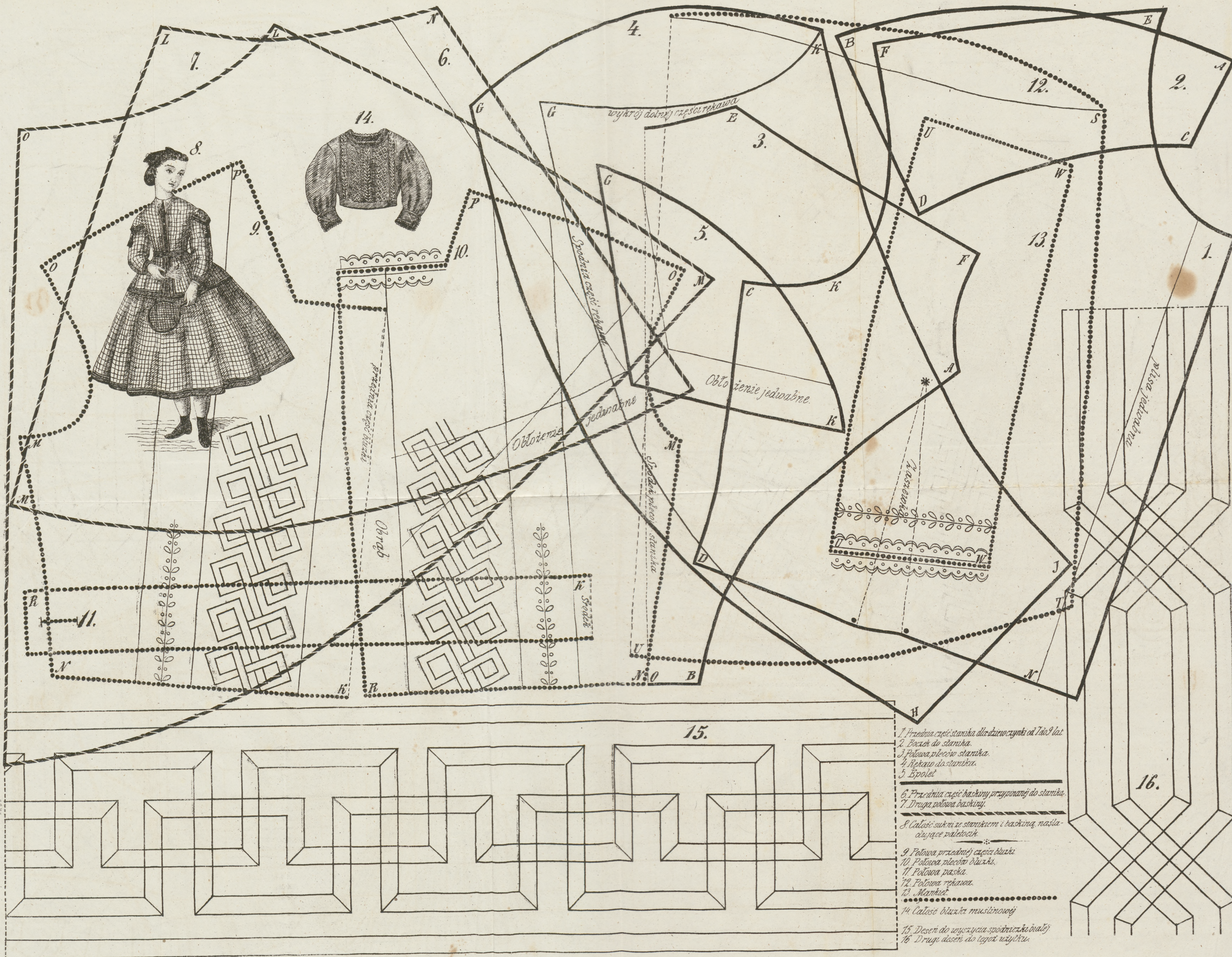
Jest to sukienka z bareżu mozambique białego w lila krateczkę z takąż samą przypinaną baskiną. Dół sukienki stanik i baskina obłożone są pliską jedwabną lilla z białą wypustką po brzegach. (Wypustkę można zastąpić białym jedwabnym sutaszem z wierzchu naszytym). Pliska przy sukni szeroka 4 centymetry przy staniku i baskinie 2 centymetry. Długość sukni wynosi 55 centymetrów, szerokość 3 metry. — N. 1- Przednia część stanika dla dziewczynki od 7 do 9 lat. — N. 2. Boczek. — N. 3. Połowa pleców. Plecy krajane są w całości, z podwójnie złożonego materjału. — N. 4. Rękaw kraje się z dwóch części, z których spodnia znacznie podcięta jest jak to forma dokładnie wskazuje. — N. 5. Epolet. Po wykrojeniu stanika z bareżu i podszewki płóciennéj, zeszyć go podług oznaczonych liter, prawą stronę stanika zaopatrzyć w dziurki, a lewą w guziki powleczone lilla materją. Wykrój szyi objęty wypustką lilla. — N. 6. Przednia część baskiny. — N. 7. Druga połowa baskiny. Po zeszyciu baskiny podług liter, obłożyć brzegiem materją lilla w pasek wszyć i zapinać z przodu na haftki. — N. 8. Całość sukni bareżowéj z baskiną przypinaną. — N. 9. Połowa przedniéj części bluzki muślinowéj dla dziewczynki od 4 do 6 lat. — N. 10. Połowa pleców. — N. 11. Połowa paska na długość i szerokość. — N. 12. Połowa rękawa.—N. 13. Mankiet. Przednia część bluzki i pasek krają się z jednéj sztuki podwójnie złożonéj, plecy zaś z dwóch kawałków z przydaniem 2 centymetrów z każdéj strony na obrąb do przyszycia guzików i dziurek do zapinania. Deseń składa się z przystebnowanéj skośnéj pliski muślinowéj lub wązkiéj plecionki w cienkim gatunku i wstawki haftowanéj z przystebnowaną pliską po obydwóch brzegach. Do wstawki haftowanéj znajdującéj się na samym środku bluzki, dodana jest z obydwóch stron langietka haftowaną zupełnie płasko przyszyta. Po zeszyciu bluzki podług liter jednozgodnych, naszyciu plisek i wstawki, muślin z pod téj ostatniéj wycina się, żeby haft był wydatniejszy i klarowny. Wykrój koło szyi objęty jest wypustką i obszyty langietką haftowana rozchodzącą się na dwie strony. Dolna część bluzki wszyta w dubeltowy pasek. Guziki do zapięcia bluzki i mankietów białe webowe. — N. 14. Całość bluzki muślinowéj z wykrojem kwadratowym. — N. 15 i 16. Desenie do ozdoby białych spódniczek, penioarów i kaftaników pliskami skośnemi, przymocowanemi stembenkiem z obydwóch stron. Desenie takie zawsze umieszczone bywają nad gładkim obrębem lub nad falbanką rurkowaną. Na sukniach kolorowych wyszyć je można aksamitką lub wstążeczką.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu oraz forma stanika z baskiną przypinaną i bluzki muślinowéj.

W Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

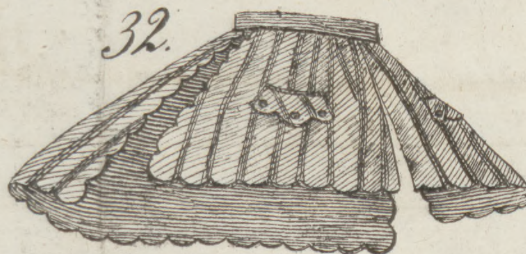


wykrój dolnej części rękawa
Spodnia część rękawa
Obłożenie jedwabne.
Obłożenie jedwabne
Spodnia pleców stanika
Przednia część bluzki
Obrąb
Środek
Plisa jedwabna
1. Przednia część stanika dla dziewczynki od 7 do 9 lat.
2. Boczek do stanika.
3. Połowa pleców stanika.
4. Rękaw do stanika.
5. Epolet
6. Przednia część baskiny przypinanej do stanika.
7. Druga połowa baskiny.
8. Całość sukni ze stanikiem i baskiną, naśladujące paletocik.
9. Połowa przedniej części bluzki.
10. Połowa pleców bluzki.
11. Połowa paska.
12. Połowa rękawa.
13. Mankiet.
14. Całość bluzki muślinowej
15. Deseń do wyszycia spódniczki białej
16. Drugi deseń do tegoż użytku.

1 i 6. Szlaczki na falbanki
2 i 25. Desenie na wstawki — 3, i 4, Mankiet i Kołnierzyk
5 Litery M.L. do znaczenia poszewek.
7 Anna do znaczenia chustek do nosa. — 8. Ząbki na falbankę.
9 Deseń na wstawkę. — 10. Połowa kołnierzyka.
11. Mankiet — 12. Kołnierzyk ze śpiczastemi końcami. —
13, 14, 15, Desenie na falbanki. — 16, 17 Narożniki do krawatek.
18, 23 Desenie do wyszycia sutaszem.
19. Deseń na chustkę od nosa.
20 Narożnik do muślinowej krawatki.
21 22. Litery G. do znaczenia bielizny.
24 Deseń na szlak do spódnicy albo do ozdoby bluzki.
26. Deseń na karczek do koszuli damskiej
27 Beduina korcikowa.
28. Sukienka pikowa. — 29, 30, Paletocik odpowiedni.
31, — Suknia z przypinaną baskiną.
32, — Baskina przypinana do tejże. —
34 Suknia z popielatej Alpagi
35 Taż sama suknia podpięta na. klapki —
36 Kapelusz pasterski z białej włosienicy ubrany aksamitką i wieńcem bluszczowym. 33. Baskina innym fasonem.





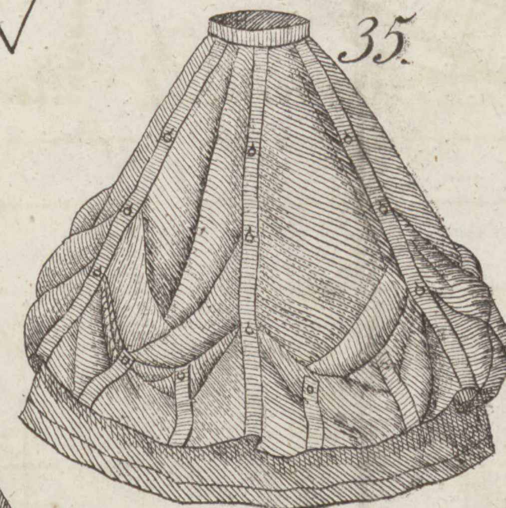
















Dodatek do Nr. 27 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)



Uwielbiam dowcip pana i twórczość jego umysłu, który co chwila nowe tworzy plany, ale bardzo mi tu dobrze i nie myślę wyjeżdżać.

Nie zraził się odmową:

— Znam wyższość umysłu pani, wiem że sam rozum jéj przemawiać będzie za mną, i dla tego poważam się powiedzieć jéj szczerą prawdę. Dziś pan Dolfin wierzy szczerze w możliwość miłości platonicznéj, i w niewinności duszy, bierze tunel za dom. Przypuszczam że dość wcześnie błąd swój postrzeże, lecz czy cofnie się na raz obranéj drodze?...... Bynajmniéj, są porywy którym nikt oprzeć się nie zdoła. Przebywa więc tunel, bo nikt jeszcze nie zatrzymał się przed nim, i staje na drugiéj stronie. I jakiż będzie rezultat? Oto gdyby kiedykolwiek wychylił do dna czarę rozkoszy, wierzaj mi pani, sumienie jego zbudziłoby się niebawem. A co za straszne przebudzenie! Po chwilowem upojeniu nastąpiłoby zadziwienie, przestrach i wyrzuty sumienia; odpokutowałby srodze za swe tak dziś zwane *święte szaleństwo;* opłakiwałby gorzko postradane złudzenia, które dozwalały mu widzieć w swéj miłości płomień czysto niebiański, do którego zmysły żadnego nie miały przystępu; zdawałoby mu się, że bracia jego serafinowie odwracają się od niego ze wstrętem, i wyrzucają mu jego zwycięztwo jako haniebny upadek. I biedne dziecię złorzeczyłoby kobiecie, która dając mu szczęście, wydarła rozkoszne oczekiwanie, i marzenie o szczęściu, kobietę która zgubnemi swemi pieszczoty, zmieniła czyste złoto w podły ołów, zmieniła anioła w potępieńca.... Nie, taka jak pani kobieta nie może narażać się na podobne przejścia. Cóż by to było za zuchwalstwo wydzierać Boga jego skarb i własność!.... prędzéj czy późniéj trzebaby koniecznie je zwrócić i pozostać osamotnioną, z rozpaczą w duszy i hańbą przed ludźmi..... No cóż pani, kiedy wyjedziemy do Włoch?

Oburzyła mnie ta straszna sekcja niemiłosiernym dokonana skalpelem, rana moja zajątrzyła się, nie umiałam więc dotrzymać postanowienia aby okazać się zimną i spokojną, straciłam moc nad sobą, i w uniesieniu, chcąc cios mi zadany dotkliwszym jeszcze odeprzeć ciosem, zawołałam wyzywająco podnosząc głowę:

A jeśli, jak pan mówisz, czara rozkoszy została wychyloną, i przepowiadane następstwa nie nastąpiły bynajmniéj?.....

Raz wymierzony ostro ugodził w serce Maxa, zerwał się gniewnie, jakby piorunem rażony, i cofając się parę kroków wykrzyknął:

— Nie, to nie prawda! to być nie może, skoro ja tu jestem, mówię do pani i nie zabiłem nikogo!

— Masz pan chwile dziwnéj nieprzytomości, odrzekłam. I ja przecież jestem tu jeszcze, bo dotąd sądziłam że człowiek uczciwy nie zapomina raz danego słowa.

Odpowiedział mi strasznym głosem:

— I cóż mnie dziś obchodzi com kiedyś przyrzekał czy przysięgał! powołujesz się pani na podobne dzieciństwa, chyba więc nie znasz mnie wcale?... Dałem słowo, mówisz, dałem słowo! lecz czyż wiem co przyrzekałem? Zdaje mi się, że od wczoraj dopiero żyję; i nie mów mi pani o moich błędach, pytaj o nie szaleńca jakim byłem wtedy a jakim dziś być przestałem, niech on pokutuje i zdaje z nich sprawę, ja dziś nie znam go wcale. Jedno tylko wiem i chcę wiedzieć: że jesteś moją. O biada człowiekowi któryby się poważył jeden włos twéj głowy dotknąć swemi usty! Biada temu na kim wzrok twój spoczął choć chwilę, do kogo uśmiechnęłaś się choć raz jeden! Nie dozwolę wydrzeć sobie dobra, które krwawemi okupiłem łzami; jutro wyjeżdżamy i pani pierw musisz przysiądz, że zapomnisz o wszystkiem. Ja tak chcę i tak być musi!.... Ah! sądziłaś pani że można bezkarnie doprowadzać mnie do rozpaczy! Trzeba było być tyle szlachetną, żeby umieć zwodzić mnie i kłamać. Więc pani nic nie widzisz? nic nie pojmujesz? jakiż zły duch zasłania ci oczy? Cóż mnie dziś powstrzymać może, słuchać będę tylko głosu méj strasznéj boleści....

I uderzając się w piersi:

— O czemuż nie umiesz pojąć co się tam dzieje! gdybyś wiedziała jak przepędzam noce, jak straszne dręczą mnie marzenia... Dwa razy, tak, dwa razy już chciałem cię zabić....

— Więc zabij mnie pan, odpowiedziałam, wzruszając ramionami; ale sam wróciłeś mi wolność, kocham i nie pojadę.

Wydał krzyk straszny i pobiegł do kominka, na którym leżał nóż jego myśliwski. Zanim zdołałam coś pomyśleć przybiegł do mnie z okropnie zmienioną twarzą, trzymając nóż w podniesionéj ręce; przelękłam się, i może to mnie ocaliło. Wysunęłam rękę

aby nóż odsunąć; i poruszeniem tem zraniłam się lekko w rękę: krew popłynęła. Zobaczywszy tę krew uspokoiłam się w jednéj chwili, śmierć uśmiechnęła się do mnie, zapragnęłam jéj, podniosłam się więc z krzesła i przysuwając nieco, rzekłam do Maxa patrząc mu śmiało w oczy:

— Czekam, ugodź co prędzéj!

Patrzył na moją dłoń skrwawioną, i ręka jego zaczęła drżeć konwulsyjnie; nie potrafię opisać co czytałam w jego oczach, blask ich zaczął gasnąć powoli, i gorzki smutek zajął miejsce wściekłości. Tu nastąpiła dzika i niepojęta scena, spojrzał na nóż, postrzegł kropelkę krwi i jakby dla ukojenia tajemniczego pragnienia, poniósł ją do ust i wypił: potem nagle rzucił nóż na ziemię i wybiegł z salonu.

Wszystko to odbyło się tak nagle, że przez chwilę nie wiedziałam czy to sen czy rzeczywistość, i dopiero zobaczywszy skrwawioną rękę, oprzytomniałam i obwiązałam ją chustką. O! jakże żałowałam teraz, że wszystko skończyło się na lekkiem okaleczeniu! — I po cóż zatrzymałam nóż, myślałam sobie; byłabym już nie żyła w téj chwili, wszystko byłoby skończone, a teraz, niestety! znowu wszystko na nowo rozpoczynać trzeba! Jeśli po krótkim wypoczynku, mam być znowu narażoną na podobne przejścia i wzruszenia, czyż siły moje podołają temu?... Mogłam liczyć na siłę duszy, ale nie byłam pewną siły mych nerwów?... Chwila słabości, a czeka mnie nieodwołalna przegrana.... O raczéj śmierć!...

Ale nie same tylko moje życie było w niebezpieczeństwie; jak tu zapobiedz spotkaniu, którego myśl śmiertelnym przejmowała mnie dreszczem? Jakże wyrzucałam sobie moją nieroztropność! mogłażem myśleć że Max szanować będzie moją wolność? Czyliż jego obrażona duma miała uważać się zobowiązaną próżnemi przyrzeczeniami, jakie kiedyś tak łatwo uzyskałam od jego obojętności? Cóż to kierowało mojem postępowaniem? zbyt pochlebiałam memu zmartwieniu, i jakby jakiemu bóstwu poświęciłam mu niewinną ofiartę, kórą podobało mi się uwikłać w moje nieszczęścia. I zamiast myśleć jak ochronić człowieka, który mnie kochał, któregom kochała, ja wyszukiwałam sposobów, aby jak najdotkliwiéj dotknąć i brawować *z drugiego*. Bez litości podniecałam ogień, i jakby z umysłu popychałam sztylet utkwiony w głębokiéj ranie. Sumienie moje tak milczące dotąd, teraz dopiero (dziwna rzecz) zaczynało robić mi wyrzuty, że nie umiałam skłamać, jak gdyby, mówiło ono, w sercu mojem przeważała nie miłość moja ale zemsta, jak gdyby tu o mnie tylko chodziło, o objawienie przed moim wzrokiem całéj szlachetnéj dumy mego charakteru, i że tak powiem o paradowanie przed sobą samą. Ach! jeśli potrzeba krwią zmyć ten błąd straszny, niech moja tylko płynie; przed chwilą miałam jakby przedsmak śmierci i żadnéj nie poczułam goryczy.

Przeszłam do swoich pokoi, i odprawiwszy Małgorzatę, zamknęłam drzwi na klucz, poczem rzuciwszy się na fotel, zatonęłam w głębokiem rozmyślaniu. Szukałam, i nie mogłam znaleść żadnego rozwiązania; i cóż mogłam wymyśleć, sama nie wiedząc czego żądam? Wstałam i ulegając zabobonnym zachciankom wzburzonego umysłu, który widział, że rozum nic tu podołać nie może, postanowiłam uciec się do próżnych wyroczni, i przysuwając do biblioteki, zamknęłam oczy i wzięłam na traf jedną z książek stojących na półkach. Przypadek zrządził, że była to stara książka którą kiedyś, w dziecinnych latach moich, z największem czytałam upodobaniem; był to zbiór rozmaitych anegdot oraz przypowieści z Pisma świętego. Otworzyłam książkę i palce moje padły na następujący ustęp: „Tak więc Balaam wstał rano i osiodławszy oślicę swą, pojechał za starszyzną Moabitów; i rozgniewał się o to Bóg, i stanął Anioł Pański na drodze przeciw Balaamowi. I oślica ujrzawszy Anioła stojącego na drodze z dobytym mieczem, odwróciła się z drogi i szła polem, a Balaam bił ją i chciał zwrócić na drogę; co widząc Anioł stanął między dwoma płotami, ogradzającemi winnicę, a oślica zobaczywszy znowu Anioła przyparła się do ściany i starła nogę Balaama, a on znowu bić ją zaczął. Wtedy Anioł przeszedł i stanął w miejscu tak ciasnem, żeby ani w prawo ani w lewo usunąć się nie było można, i zastąpił drogę oślicy, a ona ujrzawszy go stojącego upadła pod nogi Balaama, który rozgniewany jeszcze mocniéj bić ją zaczął. Lecz nareszcie otworzył Pan oczy Balaama, i ujrzał Anioła stojącego na drodze z podniesionym mieczem, i upadł na kolana i pokłonił się twarzą do ziemi“.....

Przestałam czytać i położyłam kiązkę na swojem miejscu; cóż mogło być wspólnego między mną a prorokiem Balaamem? I dręczona niepewnością i niepokojem długo chodziłam po pokojach, z chciwym niepokojem badając serce, które mi nic odpowiadać nie chciało, i tworząc najniedorzeczniejsze zamiary, które sama w tejże odrzucałam chwili. O jakże noc ta wydała mi się długą! zdawało mi się, że dzień nigdy chyba nie nastanie. Gdy zaczęło świtać, ubrana rzuciłam się na łóżko, znużenie przemogło niepokój i wkrótce zasnęłam głęboko. Gdym się obudziła dzień jaśniał w całéj pełni. Świadomość życia dała mi się uczuć jakby trucizna rozchodząca się nagle po wszystkich moich żyłach; zaledwie mogłam się podnieść, byłam jakby złamana a wszystkie moje członki zesztywniały od zimna. Wspomnienie Maxa stojącego przedemną z podniesionym nożem w ręku, przejmowało mnie dreszczem przerażenia. Trzeba odjechać, mówiłam sobie, i sama dziwiłam się, że prędzéj nie uczyniłam tego. Trzeba odjechać; Max sam już nie wie co robi, możnaż przewidzieć i zakreślić granice szaleństwa? I na cóż mi się przyda narażać się znowu na napady jego szaleństwa? zresztą, któż mi zaręczy, że w przerażeniu nie padnę do nóg jego, wołając łaski? Dziś to tylko pewna, że z mojéj przyczyny życie człowieka jest w niebezpieczeństwie, i nie mogę go ocalić jak tylko uciekając ztąd co prędzéj.

I dziwiłam się sobie jak mogłam się wachać, jak mogłam dotąd nie uznać téj niezbędnéj konieczności? I *on* i ja powinniśmy opuścić te strony; teraz drżałam czy wypadki nie uprzedziły mego postanowienia. Otworzyłam drzwi i po cichutku wyszłam na galerję, zdało mi się, że słyszę odgłos głosów w pokojach Maxa; zbliżyłam się zwolna i przekonałam się, że rozmawia z Babtystą, poważnym ale spokojnym głosem. Wróciłam do siebie i napisałam prędko dwa następujące wiersze: „Dziś wieczorem wyjeżdżam do Genewy, i pan opuść te strony i jedź natychmiast do Donzere, tam się zobaczemy. Słówko odpowiedzi.“ Mały ten papierek włożyłam w książkę, jakby zakładkę, owinęłam w papier i obwiązałam sznurkiem, po-

czem ubrałam się na prędce. Wyszedłszy, spotkałam w sieni Małgorzatę, powiedziałam jéj że wyjeżdżam na przejażdżkę i wrócę za dwie godziny. Nie zdziwiło jéj to wcale, nawykła już do moich rannych wycieczek.

Zszedłszy na dziedziniec kazałam osiodłać Solimana i pojechałam. Puściłam się krętą i ciernistą dróżyną, ciągnącą się wzdłuż muru obwodowego, któréj nie widać wcale z okien pałacu. Ujechawszy ledwie dwadzieścia kroków, spotkałam pietnasto-letniego chłopca, syna jednego z naszych fermierów, który szedł do Reauville z koszem na plecach. Oddałam mu swój pakiecik, powiedziałam żeby go oddał podług adresu i zaczekał na odpowiedź, po którą za dwie godzin sama przyjadę do fermy. Przyrzekł się pośpieszyć i ruszył w drogę. Widziałam jak szybko się oddala, i nagle jak gdybym chciała zyskać na czasie, przywołałam go znowu, powtarzając słowo w słowo moje polecenie; uśmiechnął się i zapewniał że doskonale zrozumiał. Czas jakiś jeszcze ścigałam go wzrokiem: — Stało się, pomyślałam, los mój już roztrzygnięty!.... I odwracając się od Reauville, zwróciłam konia w boczną drogę.

Wiatr ustał, wszystko zapowiadało dzień piękny. Orzeźwiło mnie nieco świeże poranne powietrze i rozproszyło zwolna ową otrętwiałą bezprzytomność jaką uczułam przebudziwszy się; ale w położeniu w jakiem znajdowałam się wówczas, zapamiętale zwracamy przeciw sobie odzyskane siły, i w kilka minut, z odmętu rozpaczy, wpadamy w stokroć boleśniejszą, niebezpieczniejszą jeszcze gorączkę przerażenia. Burza zawrzała w mem sercu, a myśli moje mięszały się i rozbijały w méj głowie, jakby pędzone straszną nawałnicą. Daremnie starałam się zebrać i pochwycić pobudki i uczucia kierujące mojem postanowieniem, które przed chwilą wydawały mi się tak niezbite i stanowcze. Im więcéj przestraszał mnie niebezpieczny, nieuleczony niemal stan choroby, tym więcéj przerażała teraz gwałtowność zastosowanego lekarstwa; a jeśli zamiast choroby zabije chorego? Każdy krok zwiększał ciężar przygniatający me serce; i zdało mi się, że lada chwila upadnę pod tak ciężkiem brzemieniem.

A jednak trwałam jeszcze w raz powziętem postanowieniu, i sama nie wiedząc co robię i gdzie jadę, przyśpieszałam bieg mego wierzchowca. Droga, którą jechałam prowadzi do wielkiego traktu wiodącego do Montelimart, już miałam nań wjechać, gdy wtem skutkiem niepojętego jakiegoś wybryku, Soliman zatrzymał się nagle i stanął na miejscu. Podniosłam głowę i wlepiłam oczy w tę długą tumanami kurzu zasłoniętą drogę, która wężykowato wiła się po wzgórzach, jakby uciekała ku horyzontowi, i pomyślałam sobie: Droga ta prowadzi do Valencyi, Lugdunu, Genewy, Szwacaryi, i może przechodzi koło tego samotnego domku, gdzie tak słodko byłoby dwom kochającym się istotom „starzeć się i umierać razem.“ Dreszcz mnie przebiegł; zdało mi się, że droga ta wiedzie do przepaści. Jednak chciałam wjechać na nią, jak gdyby dla tego aby poznać drogę mego życia; uderzyłam lekko Solimana i skierowałam go na gościniec, lecz w jednéj chwili tak nagle skręcił na bok, że o mało nie spadłam. Znowu kilka razy uderzyłam go spicrutą, ale uderzając go tak przypomniał mi się nagle Balaam bijący swoją oślicę: a ona widziała Anioła zastępującego jéj drogę z podniesionym mieczem w ręku. Na drodze do Montelimart, nie było Anioła ani szpady, a jednak głos jakiś mówił mi: Nie można! Własne moje serce stawało mi na drodze.

Skręciłam konia i czem prędzéj zawróciłam z powrotem. Ale czy zdążę na czas, czy dogonię mego posłańca. Zdało mi się, że widzę jak coraz prędzéj ucieka przedemną. Popędzałam Solimana, galopowałam przez pola i błonia, chciałabym była przypiąć mu skrzydła. Nareszcie postrzegłam mego posłańca, jak postawił kosz na ziemi i odpoczywał u stóp małego wzgórza. Po chwili powstał i zaczął wstępować na pagórek; zwolniłam biegu i odłąd oka nie spuszczałam z chłopca; przeznaczenie moje z nim razem przesuwało się przed moim wzrokiem. Teraz byłam pewna że w jednéj chwili mogę go doścignąć, nie miałam więc potrzeby śpieszyć się; serce biło mi gwałtownie, dość mi było chcieć, a jednak opóźniałam tę chwilę, jak gdyby znajdując dziwną jakąś rozkosz w przedłużaniu téj męczarni niepewności, i trzymania jeszcze czas jakiś méj przyszłości w zawieszeniu.

Zaledwie jednak chłopczyna minął pierwsze domki wiejskie, przyśpieszyłam biegu i dopędziłam go w jednéj chwili. Dałam mu parę franków, mówiąc, że skoro przypadek zwrócił w tę stronę moje kroki, sama już oddam swoją przesyłkę. Jak tylko oddał mi książkę, zwróciłam w boczną drogę i zatrzymując się pod wznoszącym się tu krzyżem, odetchnęłam swobodniéj. I tu zaczęłam przypatrywać się dolinie, wzgórzom, czystym wodom Berry, i szczytom pałacu wyłaniającym się z pomiędzy dębów, i zdało mi się że tajemniczy jakiś węzeł nierozerwalnie łączy mnie z tem wszystkiem, że cierpienie przykuło tu moje życie, i że nie podobnaby mi było umierać gdzie indziéj.

Sama nie pojmuję jaki znów szał mnie ogarnął, nagle spięłam konia, puściłam się galopem, i w jednéj chwili stanęłam przed małym białym domkiem, leżącym w pobliżu wioski. Znałam trochę poczciwego człowieka u którego mieszkał pan Dolfin, ponieważ kiedyś, wczasie długiéj, blizko dwumiesięcznéj jego choroby, odwiedzałam go i udzielałam żonie wszelkiéj pomocy. Zastałam go kopiącego na polu; jak tylko mnie spostrzegł odkrył głowę, zbliżył się, a że jest wielki gaduła, zatem nie czekając nawet zapytania, wypowiedział mi jednym tchem co tylko wiedział, o swojéj żonie, swojéj trzodzie, owczarni, drobiu, a nakoniec i o swoim lokatorze. Przedstawiał mi go jako niesłychanego oryginała, a chcąc dowodnie przekonać o jego dziwactwie, powiedział mi że całą noc spacerował z jakimś księdzem, a rano wstąpił tylko na chwilę, aby go uprzedzić, że cały dzień przepędzi u Trapistów.

— A doskonale! wyrzekłam ponurym głosem, co zapewnie miało znaczyć: O dziękuję ci! wielki ciężar spadł z moich piersi, oddycham. Teraz mam przecie przed sobą cały dzień zwłoki; dziękuję ci, jestem spokojna do jutra, w tym przeciągu czasu nie będzie żadnych tłómaczeń, nie będzie spotkania. Ten o którego życie drżałam jeszcze przed chwilą teraz bezpieczny, jest u Trapistów, nikt nie pójdzie go tam szukać.

— Bywaj zdrów, rzekłam, poczciwy starcze; niech cię Bóg błogosławi!.... i zawróciłam drogą wiodącą do Lestang. Zdało mi się, że coś pękło mi w sercu,

nie wiedziałam co się ze mną dzieje.... Ja szukałam jego, myślałam sobie, a on u Trapistów!....

I przez całą drogę powtarzałam sobie z niewypowiedzianą goryczą: — Ach! on jest u Trapistów!....

XXIV.

Wróciwszy do siebie nie wiem już co odpowiedziałam Małgorzacie, która widząc moją obandarzowaną rękę, rozlicznemi mnie zarzucała pytaniami; odprawiłam ją co prędzéj i upadłszy na kozetkę rzewnemi zalałam się łzami. On jest u Trapistów!.... I teraz zrozumiałam wszystko, i pojąć nie mogłam dla czego nie zrozumiałam prędzéj; ogień błyskawicy rozświecił moje serce, i nagle objawiłam się sama sobie. O nie! zawołałam, to nie jest miłość! ja nie kocham go tak jak kochają kobiety, które porwane uczuciem zapominają o świecie, obowiązkach i sumieniu; ja nie umiałabym tak zapomnieć się dla niego, po cóż więc jechać?.... Tak, ale dziś już nic, nic dla mnie nie ma na świecie....

Rozdarła się więc tajemnicza zasłona pokrywająca me uczucia, teraz mogłam już opowiedzieć sobie całe ich dzieje. I przypomniałam sobie wyraźnie, jak w godzinach samotności utworzyłam sobie widziadło, dla którego serce moje biło tak żywo; lecz wielokrotnie, w obec człowieka, który miał być uosobieniem tego widziadła, wyobraźnia moja uczuwała się jakby upokorzoną i boleśnie dotkniętą. Drżała ona na samą myśl, że nie znajdzie w nim wszystkiego o czem marzyła, i wyrzucała mu, że tak powiem, że on żyje, że jest rzeczywistszy niż ideał który miał przedstawiać; że nie był utworzony z téj lekkiéj i przezroczystéj mgły z jakiéj sny się tworzą, z mgły unoszącéj się w przestrzeni bez wyraźnych kształtów, przez co nigdy nie można piewiedzieć: Widziałam wszystko i wiem że nic tam już nie ma więcéj.

— Ach! pomyślałam sobie, ja nie jego, ale marzenie moje ukochałam, a dziś marzenie to rozwiało się bezzwrotnie!... I znowu mówiłam sobie: widać że dusza nasza, przed przyjściem na ten padół, nasłuchała się niebiańskich koncertów, że przynosi z sobą na świat, wspomnienie tych harmonijnych dźwięków, i szamocze się i męczy aby je odtworzyć. Kazano mi milczeć, ja upierałam się przy swojem, bo nie mogłam stłumić i odegnać tego wspomnienia niebiańskiéj muzyki, szukałam więc serca któreby mi choć kilka oddźwięczyło tonów, ale instrument jaki nasunął mi przypadek złamał się w mojem ręku. Może śmierć dopiero odśpiewa mi ten boski śpiew; życie tak ciężkiem, tak trudnem było dla mnie, może śmierć da mi zakosztować nieznanych słodyczy?...

Zadzwoniono na obiad; wstałam i przejrzawszy się w lustrze aż przeraziłam się swoją bladością. A, niech myśli co chce, odpowiedziałam, nie myślę już żadnéj odgrywać roli, cóż mi szkodzi choćby dojrzał prawdę.

Zszedłszy do sali jadalnéj zastałam tylko jedno nakrycie; usiadłam, i jak tylko zdołałam zapanować nad mojem wzruszeniem, zapytałam Baptysty: Czy pan de Lestang nie będzie na obiedzie?

— Nie pani, odpowiedział posępnym głosem.

— Gdzież jest?

— Dziś rano wyjechał w daleką podróż; ja zostałem jeszcze dla zapakowania rzeczy, które wieczorem zawiozę panu margrabiemu.

— Ach! wyrzekłam, i choć pytania tłumnie cisnęły się na usta, nie byłam w stanie przemówić i słowa, tak uczułam się złamana i niemal otrętwiała. Po chwili, nie jedząc wstałam od stołu.

— Pan margrabia zostawił list do pani, rzekł jeszcze Baptysta, położyłem go na kominku w salonie. Poczem, składając ręce, dodał błagającym głosem: Czy pani raczy chwilkę pomówić ze mną, miałbym tyle do powiedzenia?

— Późniéj, odpowiedziałam.

Oto co zawierał list Maxa:

„Odjeżdżam, nigdy już nie zobaczymy się z sobą. Stało się, tak być musi, dziś nie mógłbym już ręczyć za siebie. Sama myśl wczorajszego zajścia przejmuje mnie dreszczem, ale możeż wiedzieć cobym mógł zrobić jutro? Może na wszystko zdołałbym się odważyć, a co więcéj, nie umiałbym może nawet żałować za swe postępki. Odjeżdżam więc, ocean nas rozdzieli; bądź pani więc spokojna, ja umiem chcieć. Daremnie! tak być musiało, może za nadtośmy do siebie podobni; oboje dumni, samodzielni, oboje nie umiemy kłamać.... Cóż robić; a jednak od iluż to nieszczęść kłamstwo uchroniło ludzi?.... ale nie każdy kłamać umie i może.

„Jakże to często wyrzucałaś mi pani moją pychę, od któréj tak wiele ucierpiałaś! Tak, największa to może wada moja, ale cóżem winien, że życie za nadto było mi łatwem? przysięgam pani jednak, że dziś z dawnego człowieka nic już nie istnieje, wszystko zamarło, jedno tylko serce pozostało przy życiu. Długo, długo było dla mnie igraszką, dziś wpadłem pod jego jarzmo, i stało się moim panem i katem. Daremnie rzuciłem się w wir świata, chcąc zapomnieć ciebie i wydrzeć cię z serca i życia!.... I mamże powiedzieć czem pani jesteś dla mnie? Wszystkie słowa języka miłości po tysiąc razy były sprofanowane; żadne mi nie wystarcza, każde mnie oburza, bo żadne nie może nawet dać pojęcia o tem co się dzieje w méj duszy. Jednak nie odbiorę sobie życia, serce moje wzdryga się na myśl samobójstwa; nie brakuje sposobności do szlachetnéj śmierci; jeszcze jeden i ostatni raz w życiu idę szukać przygód, które śmierć moją w piękny czyn zamienią.

„Śmiem jednak wyznać pani, że odjeżdżam błogą łudzony nadzieją; racz wysłuchać mnie po raz ostatni. Jestem stale przekonany, że to co dziś uważasz za szał miłości jest tylko szałem nieszczęścia; gdy mnie już nie będzie, gdy będziesz pewna swéj wolności, może wtedy lepiéj zbadasz swe serce, i będziesz mogła nim kierować i rozrządzać. Nie chciałbym powiedzieć nic takiego, coby mogło panią dotknąć lub obrazić, lecz sama pojmiesz, że człowiek, który od dzieciństwa prawie kierował się na świętego, a dziś nagle ustępuje porywom ogarniającéj go namiętności, nigdy nie zdoła podołać dwuznacznym położeniom w jakich go ta namiętność postawi. Zresztą jakikolwiek obrót wziąłby ten stosunek, nigdy nie byłabyś pani długo szczęśliwą w tak bezprawnym związku; kobieta która dla miłości poświęca swe obowiązki, już tem samem zrzeka się wszelkich praw, przyjmuje wszelkie podobnego kroku następstwa i ciężary.

(d. n.)
